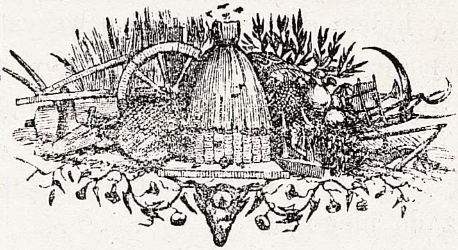
Tom X. Nr. 10.

1. Kwietnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pan Jezus frasobliwy.

Mam znajomego xiędza, co jest dziś dziekanem w Krościenku koło Krosna i co to porobił porządki w parafii i kościele jak się patrzy, a co to dawniej był na innej parafii. Otóż kilka niedziel temu jechałem do niego, aby opatrzyć te porządki i szkołę nową i przejeżdżałem górami i wsiami różnemi, aż w jednej wsi, Furmanowicach, natrafiłem na figurę z Panem Jezusem frasobliwym. Był to suchy dąb w płocie, na którym ani listka jednego nie było, łupa obleciała z niego do odrobinki, a jeno między dwowa konarami było siekierą wyrąbane miejsce, gdzie stała maleńka kapliczka, a w niej siedział sobie Pan Jezus z podpartą główką, obrócony na całą wieś twarzą. Ale też za to gazda tej figury to bogacz na 10 wsi — stodoła z grubego drzewa w węgły stawiana, stajnie porządne, chałupa z izbami na obie strony i z idebką ładną, płoty wysokie, żeby tam kot ledwo przelazł, a brama jak na jakiej plebanii. Widząc to, jakoś mi się żal zrobiło i dumam sobie:

Czy ten gazda taki niedobry na rany boskie! żeby też sam siedział jak pan jaki, a figura jego taka biedna, że aż za serce ściska?

Otoż ciekawy byłem dowiedzieć się o wszystkiem, kazałem memu furmanowi podjechać w cień pod wierzby, a sam wziąłem kij i poszedłem ku bramie. W tem wychodzi gazda; koszula na nim cienka, pas nowy na cztery sprzączki, buty pasowe, kamizelka aż się świeciła i kapelusz czarny z pańska na głowie. A ja zaraz do niego:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! jak się tu macie ludzie dobrzy i co tu słychać?

A gazda mię powitał pięknie, spytał gdzie jadę i zkąd? a ja palę zaraz prosto:

— Mój ojcze taćto jakoś mi dziwnie i markotno, że też macie takie budynki i gospodarstwo, a ta figura taka biedna, jakby nie wiem co na świecie.

A gazda na to:

— O broń Panie Jezusie! aby to było z jakiego łakomstwa albo niedbalstwa mego, jabym to był dawno odmienił, tać mię i stać na murowaną figurę, ale ta figura jest mi tak, jak cudowną i ja też ją dotrzymuję na pamiątkę moim dzieciom.

A ja pytałem dalej:

— No! i cóż to za pamiątka taka, gadajcieno prędko, bo mnie się ściele daleka droga, a tu już sporo na dzień.

A gazda tak mi jął opowiadać:

— Widzi jegomość, że to na wszystko jest miłosierdzie Boskie i my nie wartamy tego nigdy. Toć przed pięćdziesięciu laty nie było tu tego, co jegomość widzi na oczy, a teraz jest pracy podostatkiem, aż miło każdemu popatrzyć i wleść do budynków. Taki to dobry dla mnie ten Pan Jezus.

A ja spytałem ciekawy:

— Jakto! to tu nie było nic na tem miejscu?

— A juści tak, jakby nie było, mówi mi gazda, bo mój stary dziadek był komornikiem i siedział całe życie u Florka Sroki, tam aż w trzeciej chałupie, a żył ten dziadek jakie 100 lat z okładem i pamiętają go tu ludzie het! na około o jakie dziesięć mil daleko.

A ja powiadam mu!

— A z kądże wy i wasz ojciec przyszliście do takiego chleba? toćto na miłość Boga! nie takie dawne lata!

A gazda podniósł ręce złożone ku figurze i mówił zapłakawszy:

— Ot ten miłosierny Ojciec dał nam to, za co niech mu będą dzięki na wieki amen. — Potem otarł sobie oczy i mówił: Jaką miarką mierzymy, taką samą, albo sto razy większą oddaje nam nie raz sam Bóg z wysokiego nieba. Bo to widzi jegomość! mój stary dziadek, to był taki człowiek, że nikomu nie zrobił nigdy nic złego na świecie bożym, a jak zobaczył ubogiego gdzie na drodze, albo we wsi naszej, to dawał ostatni kawał chleba albo i ostatni grosz, i jeszcze go się nagłaskał i napłakał nad nim, jakby to był jego brat rodzony albo stryk albo wójek jaki. A jak się trafiło, że nie miał nic przy sobie albo mało co, to się wrócił do chałupy, odemknął skrzynkę, zabrał co jeno złożył z zarobku jakiego i dał to cichuteńko ubogiemu.

Nie raz dał dziadkowi ten placek, co go miał sam zjeść i co mu nieboszczka babka na nalepie przez noc upiekła, a on sam calutki dzień od rana do wieczora nic nie jadł, jeno o chłodzie i wodzie robił siekierą i jeszcze sobie odśpiewał godzinki, „do Ciebie Panie Boże dobroci“ „Straszliwego“ i „Anioł Pański“ a wieczór albo jadł albo i nie, jeżeli nie było co. A choć głodny legał, to niechnoby kto zawołał gwałtu na wsi, a mój stary dziadek już na prostych nogach na dworze i poratował i drogę pokazał i jeszcze się nalamencił, jakby się jemu samemu co złego stało.

A ja słuchałem tego opowiadania, jakby to o jakim świętym, i jakoś mi się wesoło zrobiło w sercu, że też to na wsi trafiają się tacy ludzie, jak był ten stary dziadek w tej wsi. — A ten gazda opowiedział dalej o swym dziadku tak:

— Raz to się tak stało, że wracał mój dziadek z drugiej wsi tam za lasem z Cebulówki, a było to dobrze pod twardą jesień i wiater ciągnął zachodni zimny, aż świeczki stawały w oczach, aż tu spotkał mój dziadek jakiegoś ubogiego żyda starego, co był odarty i prawie na pół nagi, a drżał od zimna

jak piórko na wietrze i cóż on nie robi? zdjął wór z siebie, którym się zaodział rano, i włożył go na żyda potem dał mu czapkę i jeszcze go poprowadził het za las i pokazał tam arendarza Dawida starego, co to siedział za lasem dobre pół mili tam na wygonie za Cebulówką, a sam biedaczysko przylazł aż po północy do chałupy i to bez wora i czapki. Co to się wtedy nie nagadała na niego moja babka: A ty sam taki chudak a jeszcze rozdajesz i łachy z siebie, a ja ci muszę zarobić, uszyć, wyprać i dać w niedzielę gotowe, a ty dajesz lada żydowi; a zkąd ja ci nastarczę, kiedy ja już nie mogę rękami ruszać, to ty bez koszuli umrzesz, a może i bez trumny; i tak wydziwiała, aż się ludzie nieraz nazbiegali i słuchali.

A ja poderwałem gazdę i pytałem:

— I cóż też na to ten wasz stary dziadek?

— A coby robili, oni zawsze jedno i jedno gadali każdemu, rzecze gazda, oni gadali tak: Oj ludzie, ludzie! a wiecie wy o tem, że jeszcze nigdy nie chodził z torbami ten, co ubogim rozdał majątek! a wiecie wy przez Boga żywego, że nikt nie został dziadem na świecie bożym, kto dziadom rękę podawał, że jałmużna nikogo nie z-ubożyła — jeżeli nie wzbogaciła.

A ja dodałem na to tak:

— Oj miał on dobry rozum, ten wasz stary dziadek, bo to święta prawda, że jałmużna nigdy majątku nikomu nie ujmuje, jałmużna daje majątek i błogosławieństwo, i to jest tak na świecie. Co ty sam przejesz i przepijesz, to za to nic a nic nie dostaniesz od Pana Jezusa, a co ty zmarnujesz na durniczki i zabaweczki, to za to odpowiesz nieboże na sądzie bożym; ale co ty dasz z serca ubogiemu kiedy, to za kroplę wody dostaniesz miód i mleko, za okruszynę dostaniesz korczyk niejeden, a za szmatkę, co nią owiniesz palec komu skaleczony, odbierzesz złotą suknię; a za grosik drobny, dostaniesz i ćwierć dukatów od Boga miłosiernego.

A gazda na to powiadał:

— Oj prawda to prawda wielka, co jegomość mówi, bo taki cud porobił się i z nami, jak ja tu jegomości opowiem. Mój dziadek złożył sobie po krajcarku co tydzień i kupił sobie

za to na Kalwaryi tego Pana Jezusa, dał go poświęcić, potem zdłubał sobie sam siekierą tę figurkę i wyprosił sobie u Fejkla gazdy, że mu pozwolił na swoim dębie postawić tę figurkę koło drogi. I widzi jegomość tędy zawsze przechodził rano i wieczór i tu się nieraz przeżegnał i paciorek zmówił, a całował na dole to drzewo, bo nie mógł dostać do nóżek tego Pana Jezusa, i tak żył aż 110 lat, a jak umarł, to nic nie zostawił jeno starą kożuszynę i jeden reński — a kazał dać ten kożuch do szpitalu do Brzozowa, a te pieniądze na mszę za swoją duszę. Mój tatuś nic a nic nie wzięli po dziadku jeno te 10 palców, a nikt nie pomyślał na to, że za 30 lat da nam Bóg miłosierny tyle chleba i pracy, jak to widzi jegomość.

A ja przerwałem znowu i pytałem:

— No mój ojcze! i jakże to się stało, gadajcieno, bo słówko leci a leci, a jabym chciał stanąć w Krościenku bodaj o północy.

A gazda gadał tak:

– Jak dziadek pomarli, to był taki płacz i jęk na pogrzebie, jakby jaki bogacz umarł — a mój tatuś nieboszczyk mieli wtedy już koło 50 lat i zostali sierotą i komornikiem. W tem pomarł ten Fejkiel gazda co to dał tego dąbka na figurę i co tu siedział i została biedna wdowa po nim. Mój tatuś ożenili się z tą wdową i żyli jakie cztery lata i pomarli a ja zostałem maleńki z mamusią moją, co także niedawno pomarli. Ja wychowałem się tu w tej chałupie, potem ożeniłem się u Sobka Kozyry i mam babinę dobrą i pobożną — i widzi jegomość od dziesięciu lat gazduję i mam tyle chleba i pracy, bo powiadam sprawiedliwie, że mi wszystko prosto z nieba leci gotowe. Ot cztery lat temu, jakem pokończył te budynki do około, a teraz siedzę i cieszy mię to niezmiernie, że Bóg tak miłosierny dla mnie. A tego Pana Jezusa nie ruszam, to pamiątka mego dziadka, a każde rano i wieczór mówię tu Anioł pański za duszami dziadka, babki, ojca i mamusi mojej i widzi jegomość, czyż to nie cud porobił się z moją familią, co to komorowała zawsze, a ja w trzeciem pokoleniu mam także budynki i na tyle chlebusia; czyż to nie błogosławień-

stwo boskie dla mnie sieroty? i za cóż to? oj pewnie za to, że mój dziadek był taki szczodry i niesłychanie szczery dla każdego, że dał jałmużnę każdemu ubogiemu bo tak był i ojciec nieboszczyk i matka moja.

A ja zapytałem zaraz gazdę:

A wy też taki sam szczery dla każdego, jak był dziadek i ojciec?

A gazda powiadał:

Niewymawiając Bogu miłosiernemu, robi się, co jeno można dla biedaków, boć jest i z czego. Jak to przyjdą jakie święta, to u mnie pełno biedactwa i daje się nieskąpą ręką — na Wilią bożego narodzenia je u mnie pięćdziesięciu biedaków — na dzień zaduszny sprawia się co rok cztery obiady dla dziadków i babek i rozdaje się po bochenku chleba i krup albo mąki każdemu — na Wielkanoc piecze się na tyle święconego, aby też można obdzielić to sieroctwo na całej wsi, potemu powozi się także do szpitalów nie jeden worek zboża i wszystkiego — ot daje się także do szkoły nie mało, bo mam już chłopaka takiego, że chodzi w Brzeżowie do szkoły, a wziąłem też i sierotę po jednym komorniku i wychowałem i posyłam do szkoły razem z mym chłopakiem, dałem też i na kościół i teraz posyłam na pogorzelców i na tych rannych biedaków, co ich moskale pokaleczyli w Warszawie — i tak się nie żałuje nigdy dziatkowi półkwarty zboża do torbiny albo kawałka chleba i robi się, co jeno można, aby się jakoś opłacić Bogu miłosiernemu za takie dary i aby znowu zarobić i dla dzieci na miłosierdzie boskie!

A ja zadziwiłem się na to wszystko i dumam:

Ano! to masz dowód widoczny, że miłosierną ręką wspiera i napełnia miłosierna Opatrzność boska, że miłosiernym ludziom nie zabraknie nigdy chleba ani do życia ani dla ubogich, że miłosierni nie idą po żebraniu nigdy, że jałmużna nie zubożyła jeszcze nikogo i nie zrujnowała mu pracy, że błogosławieni miłosierni, bo oni dostąpią miłosierdzia! A teraz bywajcie zdrowi mój gazduniu, niech wam tu płaci ten Pan Jezus miłosierny jak wy drugim płacicie.

I rozjechaliśmy się z tym gazdą — a ja opowiadałem to w Krościenku xiędzu tamtejszemu, a on mi znowu opowiedział coś takiego, o czem zwowu napiszę w innym numerku. A wy moi kochani! dawajcie jałmużnę, co jeno możecie, to dziadom, to pogorzelcom, to zatopionym od wody, to na kościoły, to na szpitale, to na rannych Polaków, a Bóg miłosierny i wam zapłaci, jak to dał i temu gazdzie.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Niezgodne stadło.

Z włosem w nieładzie, z twarzą czerwoną,
Z przekleństwem w ustach złowrogiem
Magda Ratajka z głową spuszczoną
Siadła przed chaty swej progiem;
I swojej własnej złorzecząc doli,
Chcąc dowieść, że się nie boi,
Krzykliwym głosem klęła do woli
Jak mówią: na czem świat stoi.
W tem gdy tak ciągle z iskrzącym wzrokiem
Niewczesne żale wywodzi,
Z sąsiednej chaty powolnym krokiem
Stara Wojtkowa nadchodzi.
— Cóż wam to Magdo? zapyta stara,
Czy wam co złego kto zrobił?
— Mój chłop niegodny, hultaj, poczwara
O nic tak strasznie mnię pobił.
Stara westchnęła: „a o cóż przecie?
Toć musiał powód mieć jaki,“
— Nic rzecze Magda: najciszej w świecie
Wypoczął, spożył ziemniaki,
Kiedy w tem chyba za złego sprawą,
Rzuciwszy okiem pod ścianę
Spostrzegł leżącą w kącie pod ławą
Starą przęślicę złomaną.
Nuż gderać na mnie, że nieład w domu,
Nuż mnię łżyć strasznie na nowo;
Ja się też nie dam przeprzeć nikomu,
Sto rzekłam za jedno słowo.

I oto teraz spojrzyjcie sami
Zważcie straszliwą mą dolę,
Zbił mię okropnie, okrył sińcami,
Nim jeszcze ruszył na pole.
Zdumiona stara kiwnęła głową,
Zgroza jej serce przeszywa
W końcu Ratajki znudzona mową
W te słowa doń się odzywa:
— Przykro to bardzo moiście mili
Płaczącą widzieć sąsiadę,
Lecz według siły, o każdej chwili
Bóg każe dobrą nieść radę.
Dłużej ja od was żyję na świecie.
Siwy włos błyska na głowie:
A starych ludzi słuchać jak wiecie:
Dawne doradza przysłowie.
Miałam ja matkę dobrą, poczciwą,
Wszystkim znajomą w tem siole
Jej mądrą radę, jej głowę siwą
Najstarsi cenili wiele.
Po tej więc drogiej kochanej matce,
Ukryta w pośród zakątka
Do dziś mi jeszcze została w chatce
Kosztowna jedna pamiątka.
Na pozór niby wartość nie wielka
Choć jest jak mówię kosztowna,
Jest to po prostu szklanna butelka,
W której jest woda cudowna:
Bo ona w chatę zgodę wprowadza,
Chroni przed kłótnią i biciem,
Żon nieszczęśliwych dolę osładza
Za bardzo prostem użyciem
Jak tylko chwila kłótni się zbliża,
W najprędszej jak można dobie
Nabrać jej w usta, zrobić znak krzyża,
I usiąść w kątku gdzie sobie.
Jeśli więc chcecie Magdo kochana,
To dla trosk waszych osłody,
Przyjdźcie też do mnie wieczór lub zrana
I chętnie dam wam tej wody
Wnet też i dała wodę sąsiada.
Chcąc dobrze działać w ukryciu.
A w tydzień Magda w chatę jej wpada
Wesoła jak nigdy w życiu.

— Ach kumo, kumo, pewno nie znacie
Cudu, co u mnie się zrobił,
Od chwili jak mam wodę tę w chacie,
Mąż mnię ni razu nie pobił.
Tak teraz u mnie miło i cicho,
Aż się dziwują sąsiady:
Znać woda cudem zaklęła licho,
Co nas kusiło do zwady.
Ale Wojtkowa z dziwnym uśmiechem,
Zmierzywszy Magdę szczęśliwą,
Rzekła: już teraz nie będzie grzechem
Odkryć przyczynę prawdziwą.
Urok co owa woda zawiera,
W największej winien być cenie,
Bo on: niezgodzie przystęp zapiera,
Jest to pokorne milczenie.
Bo wszakże w usta nabrawszy wody,
Chociaż gniew w tobie się wzmaga,
Języka użyć nie masz swobody,
I wnet ustaje odwaga.
Jeźli więc wiecznie chcesz pozbyć licha,
I zyskać miłość u męża
Bądź zawsze dobra, pokorna, cicha,
Bo dobroć wszystko zwycięża.

Cz. N.

Jacek organista.

Pod starą gruszą, na miedzy która odgraniczała pola włościańskie od proboszczowskich gruntów, siedział mały chłopczyna o bladej twarzy i nieśmiałem spojrzeniu; i oparłszy głowę na wychudłej rączynie rzewnie płakał. Tuż obok niego pasły się dwie krowy i tłuściutkie, kilkotygodniowe cielę, co w nadmiarze wesołości rozmaite wyprawiało skoki.

Mój Boże! westchnął biedny malec ocierając oczy, jak też to miło każdemu stworzeniu na tym świecie, kiedy ma dobrą matulę obok siebie; ot na ten przykład, choćby i to cielę, nieme stworzenie, jak to wyskakuje, a poczciwa Sozdocha co

raz to go liźnie, to choć mruknie z radości, ile razy przejdzie koło niego; a jak nieborak, już blisko dwa lata jak się nie mam do kogo przytulić; ale co tam, dodał nieco weselej, wszakże nieboszczka matusia mawiali zawsze, że nie masz tak lichego robaka pod słońcem, o któregoby się Pan Bog tam w niebie nie zatroszczył — oj! droga matusia, mądrzy też to byli mądrzy, a co to umieli przeróżnych pieśni! pamiętam jak se to nie raz wieczorami śpiewywali: „Kto się w opiekę poda Panu swemu.“

I młody sierota pełnym rozrzewnienia głosem, z całej duszy zaczął powtarzać znaną wam wszystkim moi bracia, prześliczną, starą pieść o Opatrzności Boskiej.

— Któż cię to tak pięknie nauczył śpiewać chłopcze? zapytał go niespodzianie jakiś głos pełen łagodności.

Chłopak obejrzał się z pośpiechem, a poznawszy w mówiącym zacnego xiędza proboszcza rodzinnej wioski, skłonił mu się do samej ziemi.

— A któżby? rzekł po chwili skrobiąc się w głowę, jak nie nieboszczka matusia.

— A jak się nazywała twoja matusia, zapytał dobrotliwie kapłan.

— Katarzyna Dudziakowa, odparł wzdychając sierota.

— Aha! to żona Franciszka Dudziaka, gospodarza, co to ma chałupę niedaleko starej karczmy, przy gościńcu.

— A tegoć odrzkło dzeiecię, jeno że już dwa roki jak nie żyją.

— A ty wiele masz lat chłopcze?

— Albo ja wiem proszę jegomości, macocha tylko powiada zawsze, że jestem stary a do niczego.

— Ha! bo może to i na prawdę nie chce ci się robić — rzekł proboszcz z łaskawym uśmiechem:

— Ale gdzież tam, tłomaczył się chłopczyna spuściwszy oczy, jeno świt to już mną pomiatają na wszystkie strony, Jacek tu! Jacek tam! że aż nogi nie raz zabolą, toć i teraz nie darmo siedzę przy bydle, choć o suchym kawałku chleba jestem od rana.

Kapłan z współczuciem spojrzał na sierotę — no! mój Jacku przemówił odchodząc, jak przypędzisz bydło a nie będą

cię potrzebowali w chałupie, to przyjdź wieczór na probostwo, a zobaczemy czy też tak jesteś zupełnie do niczego.

Jacek z pokorą ucałował rękę czcigodnego xiędza, i odrzekł smutnie — o! przyjdę niezawodnie, jeżeli mi tylko nie każą kołysać macoszynego Wojtka.

— Oj! nie troszcz się o to tak bardzo moje dziecko, powiedz po prostu że ci przyjść kazałem, a już cię pewnie nie będą wstrzymywali.

Trzebaż wam tu mówić moi dobrzy ludzie, czy biedny Jacek, do którego nikt poczciwem słowem się nie odezwał w chałupie, pierwszy raz w życiu tak mile zapraszany, stawił się wieczorem na probostwie?

Porzucił nawet miskę z kartoflami, i zaledwia zaspokoiwszy pierwszy apetyt, umył się, ogarnął jak można było naprędce, i stanął niespodzianie przed samym xiędzem, który się też niezmiernie ucieszył z jego przybycia.

— A byłci też to świątobliwy i mądry człowiek ten xiądz proboszcz z Grabówki; słyszeliście już zapewnie nie raz na kazaniu moi bracia, jak to sam Zbawiciel wyrzekł niegdyś o sobie: „Ja jestem dobry pasterz, a dobry pasterz daje życie swoje za swe owieczki,“ tak ci więc i nasz proboszcz, pragnąc stać się we wszystkiem podobnym boskiemu mistrzowi swojemu, z ojcowską pieczołowitością czuwał nad duszami parafian swoich — kochał on wszystkich z całego serca, a pełniąc już od lat kilku obowiązki duchowne w tej samej wiosce, wszystkich prawie znał dokładnie z imienia i nazwiska.

I teraz na widok biednego Jacka, powstała w jego duszy myśl szlachetna osłonienia opieką swoją opuszczonego sieroty.

Wdawszy się w rozmowę z chłopczyną, poznał od razu że tenże nie był wcale złym ani głupim, a całą przyczyną niesprawiedliwego zarzutu macochy, było lekkie upośledzenie natury, to jest po prostu, że miał lewą nogę znacznie krótszą od prawej, przez co trochę utykał.

Nazajutrz więc zaraz poszedł do chałupy Dudziaka i wręcz mu oświadczył, że pragnie Jacka zatrzymać u siebie; stary pomruczał cokolwiek pod nosem, nie śmiał jednak długiego stawiać oporu, a macocha dodała z szyderstwem:

— Puść go, puść Franku, niech się też i jegomość przekona co to za niedołęga, ten nasz miły cherlak, kuternoga.

W rok potem wszyscy mieszkańcy Grabówki wydziwić się nie mogli, jakiemuś miłemu dźwięcznemu głosowi, który ich co niedziela dochodził z chóru wtorując staremu organiście, co już od niejakiego czasu widocznie tracił na siłach — nikt bowiem dotąd nie widział jeszcze tajemniczego spiewaka, który podobny skowronkowi głosił czystemi piersi świętą chwałę bożą, i stojąc ukryty po za organem wcale nie myślał się pokazywać oczom ludzkim.

Zdumiewali się więc wszyscy, pragnąc się dowiedzieć ktoby to był taki, ale bliżsi głosili po wsi, że to nie kto inny jeno znajomy nam Jacek syn Dudziaka, a stary proboszcz rozpływał się z radości, patrząc na postępy swojego wychowańca, który codziennie ucząc się od poczciwego organisty, dorównywał już prawie swojemu nauczycielowi.

Tak mijał rok za rokiem, a nasz Jacek ciągle pozostawał na probostwie, wyrósł on i zmężniał znacznie, a chociaż zawsze utykał na lewą nogę, bynajmniej to nie przeszkodziło proboszczowi do powierzenia mu obowiązków organisty, po śmierci starego Bartłomieja Miecha, co jeszcze za życia nie mógł się odchwalić swojego ucznia.

Przez ten czas umarł i Dudziak, a poczciwy chłopak niepomny złego obejścia, jakiego niegdyś doznawał w domu ojcowskim, ze łzami szczerego żalu odprowadził jego ciało na cmętarz, i złożył je obok mogiły ukochanej matki, której pamięć zawsze święcie przechowywał w wdzięcznem sercu.

Wyrósł też i macoszyn Wojtek, a chociaż bardzo młody, ożenił się wkrótce z córką bogatego włościanina z sąsiedniej wioski i przedawszy ojcowskie gospodarstwo, wyprowadził się z Grabówki.

I długo bardzo długo nic o nich nie wiedział Jacek, aż dopiero w parę lat później, kiedy nasz organista, wysłany za jakąś pilną sprawą, jechał w czasie zimy do sąsiedniego miasteczka, z bolem serca dowiedział się o smutnym losie swojej macochy.

W drodze zaskoczyła go śnieżna zawieja, i chcąc nie

chcąc musiał się zatrzymać w poblizkiej karczmie — w progu zaraz zastanowił go głos gospodyni, która dość krzykliwie i grubiańsko domagała się zapłaty od jakiejś wieśniaczki, co otulona płachtą, w kornej postawie przytuliła w się kącie izby.

— Ależ miejcie jeszcze cierpliwość pani gościnna, mówiła błagalnym głosem nieboga, wiecie, że teraz jestem chora, jak Bóg da mi zdrowie, to wam odsłużę w gospodarstwie za ten kąt pod piecem i trochę strawy, której mnie własne dziecko pozbawiło... łzy zatamowały resztę słów nieszczęśliwej.

Jacek z dziwnie ścieśnionem sercem podniósł się z miejsca aby się bliżej przypatrzeć mówiącej.

— Niestety, w tej zbiedzonej, schorowanej kobiecie, poznał on zuchwałą i dorodną niegdyś żonę własnego ojca.

Kiedy w parę dni później powracał do Grabówki, wszyscy zdziwili się nie pomału widząc go zesadzającego ze sanek starą, ciepło otuloną kobietę, której zrazu nikt nie mógł poznać.

Była to jednak znana wszystkim Franciszkowa, co dotąd żyjąc w domu cnotliwego pasierba, najczulszem przywiązaniem stara mu się wynagrodzić krzywdę uczynioną w dzieciństwie, i nie może wyjść z podziwienia jak mogła niegdyś utrzymywać, że Jacek wyrośnie na niedołęgę, dla tego że był trochę kulawym; bo nie wiedziała biedna kobieta, że Bóg nie zapomina o nikim, i jeżeli mu nie da silnych i zdrowych członków, to mu niezawodnie czem innem nagrodzi.

E. Leja.

Jak Smolik wykręcił się sianem.

Za dobrych czasów kiedy to królem polskim był Zygmunt stary, a w Polsce było wesoło a naród był szczęśliwy, żył na dworze królewskim dworzanin Smolik co był tak dowcipny jak rzadko. Wszędzie go było jak to mówią pełno, każdemu figla wypłatał, a jak wiecie takiego wesołego człowieka każdy rad widzi i słyszy, dla tego też i sam król Jegomość bardzo go lubił.

Otóż ten Smolik najchętniej lubił płatać figle dworzanom, którzy też koniecznie chcieli się na nim pomścić. Zaprosili go

więc na wino i zaprowadzili do handlu winnego, jak to dawniej był zwyczaj do sklepu na dół czyli do piwnicy. Gdy go już mieli między sobą powiedzieli mu wręcz: Panie bracie za te figle twoje jakie nam zawsze płatasz, musisz być ukarany, zapłacisz nam więc nieboże beczkę wina. Prędzej cię ztąd nie puścim aż beczkę zapłacisz, którą my tu zaraz wypijemy. Smolik choć mu było bardzo markotno wydać siła pieniędzy za marny trunek, udał że chętnie zapłaci klasnął w dłonie niby z wielkiej uciechy i kazał dać beczkę wina dla dworzan, których było nie mało. Piją więc na dobre, a Smolik dowcipny zabawia ich figlami jak może. Kiedy już wino wypili, a w beczce dno się pokazało, chce im Smolik nakoniec pokazać sztukę jaką jeszcze w życiu nie widzieli. Ciekawi dworzanie patrzą, aż im ledwie oczy nie wylezą i proszą by im tę sztukę pokazał. Smolik kazał przynieść siana. No moi bracia, rzecze Smolik, o zakład, że sznur z siana ukręce i nim was wszystkich wyciągnę! — To nie podobna, to być nie może, zawołali wszyscy. Załóżmy się o beczkę wina! Zgoda odrzekł ucieszony Smolik, i zaczął kręcić sznur ze siana; daje im jeden koniec, a kazał im go mocno trzymać, a sam kręcąc siano wyszedł z piwnicy na górę. Gdy już był u góry targnął mocno za sznur i zawołał: trzymajcie mocno! potem oddał swój koniec sznura parobkowi i kazał mu raz po raz potargnąć; a sam w nogi mój drogi. Dworzanie chcieli Smolika złapać, a on z nich sobie zadrwił potężnie, bo musieli w końcu sami beczkę wina zapłacić a on się wykręcił sianem. I to przysłowie aż po dziś dzień pozostało.

RÓŻNOŚCI.

Mędrzec jeden siedział w swojej izdebce wśród pism i xiążek zatrudniony zgłębianiem natury. W tem weszła mała dziewczynka z sąsiedztwa prosząc mędrca aby jej pozwolił wziąść nieco ognia z piecyka. Mędrzec ów chętnie pozwolił, ale spostrzegłszy, że dziewczyna nie przyniosła żadnego naczynia, w które by mogła wziąść kilka węgli, rzecze: A w cóż weźmiesz ogień? wszak nie przyniosłaś nic ze sobą, poczekaj ja ci pożyczę jakie naczynie na węgle. Gdy mędrzec zaczął szukać po izbie, zbliżyła się dziewczyna do pieca, posypała dłoń zimnym popio-

łem, a potem położyła na nim kilka żarzących węgli. Mędrzec zobaczywszy to zdziwił się tak dalece, że rzucił swoje xięgi na ziemię mówiąc: „Z całą nauką moją, nie byłbym tak prostego a naturalnego sposobu wynalazł.“

Głuchych ludzi nie brak na świecie, a jak lekarze utrzymują, ma ludzi cierpiących na głuchotę i mających słuch bardzo słaby coraz więcej przybywać. Pewien sławny lekarz angielskie co to się tylko leczeniu głuchych od bardzo wielu lat oddaje, wydał całą xiążkę o głuchocie, w której dowodzi, że teraz co raz więcej kobiet jest głuchych a to z tej prostej przyczyny, że kobiety tak sobie zwijają włosy iż niemi całe uszy zakrywają. I jest to rzecz bardzo naturalna, bo owe włosy zakrywając zupełnie uszy nie dozwalają dojść do nich głosowi a dla tego słuch coraz bardziej tępieje. A nadto powietrze jest tak dla ucha potrzebne, jak dla oddychania, dla oka i dla wszystkich zmysłów; a że włosy, zakrywające uszy, nie dopuszczają powietrza ucho cierpi, a słuch tępieje. Dla tego też niewiasty zaniechać powinny zwyczaju zakrywania uszów włosami. Niech zwijają włosy jak chcą ale zawsze tak aby ucho było wolne na wpływ powietrza a nie zakryte włosami.

Straszny wypadek wydarzył się przed trzema miesiącami w Sant Jago, stolicy rzeczypospolitej Chili w Ameryce. Oto gazety opisują to okropne zdarzenie w sposób następujący:

W dniu 8. grudnia roku przeszłego, w uroczyste święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi zebrało się około 3000 ludzi, w kościele zwanym de la Compania. Tłok był tak wielki, że z 500 kobiet musiało pozostać zewnątrz na schodach i ztamtąd słuchać nabożeństwa. Na dwie godziny przed otwarciem kościoła już mnóstwo kobiet przybyło. Kościół otwarto o godzinie 6tej i kobiety zajęły swe miejsca, cisnąć się jak najbliżej wielkiego ołtarza. Dawno już robiono uwagę, że z powodu zbytku światła używanego przy nabożeństwie, pożar może łatwo nastąpić. W owym nieszczęsnym dniu w dodatku lampy były napełnione nie olejem, lecz kamfiną. Główny obraz Matki Boskiej w wielkim ołtarzu, ozdobiony był od dołu półxiężycem z lamp; zdaje się, że ogień się zajął od tych lamp, przyczyna bowiem pożaru nie została jeszcze wyśledzoną. Ogień od lamp półxiężyca dostał się do innych otaczających lamp, świec, sztucznych kwiatów, wieńców i tp. Ale ludzie zostający w kościele nie ujrzeli ognia, czy też sądzili, że łatwo zostanie ugaszonym, jakto już poprzednio kilkakrotnie miewało miejsce: dość, że nie chcieli swych miejsc opuszczać. Tymczasem ogień dostał się do dachu, który był drewniany i do kopuły także z drzewa, a obecni poznali, że są w niebezpieczeństwie. Pewna liczba opuściła swe miejsca spokojnie, ale w kilka minut zrobiło się w kościele najstraszliwsze zamieszanie. 3,000 obecnych ruczyło się do drzwi. Kościół

ma trzy wielkie wrota, ale z tych tylko środkowe otwierano a dwóch bocznych nigdy. Wszystko rzuciło się do drzwi frontowych i do bocznych. wychodzących na ulicę, drugie boczne drzwi wychodzą na mały podwórzec. Trzecia część zebranych zdołała wyjść, ale jak kobiety w natłoku zaczęły padać jedne na drugie przed samemi drzwiami, zatamowały wyjście. Ta massa ciał z każdą chwilą zwiększała się, stawała się wyższą, robiąc niepodobnem usunięcie tej strasznej zawady.

Można sobie wyobrazić straszliwe położenie nieszczęśliwych istot, zamkniętych w ten sposób w kościele, którego kopuła już się paliła, lampy zaś i palące się świece padały na zebranych. Ludzie zewnątrz starali się ratować, ale siła rąk nie pomagała; potrzebaby było chyba machiny do usunięcia massy ciał zawalających drzwi. Zdołano jednak jeszcze kilkanaście wydobyć, ale wkrótce suknie poczęły się palić na pozostałych w kościele ofiarach, od sukni ogień objął włosy, wielki płomień buchał z kościoła, zapaliły się drzwi i odrzwia. Straszne były to chwile! podobnej katastrofy może nie spotkamy w historyi. Piszący list mówi: Gdy się dostałem na miejsce, wnętrze kościoła zajęte było czerwonemi płomieniami. Słyszałem tylko krzyki i jęki ludu na ulicach i placu, trzask i huk zapadającej się kopuły. W kilka minut wieża z drzewa zajęła się, a w kwandrans zapadła na kościół. Wiele ofiar zginęło! Każdy pytał o swą matkę, żonę, siostrę. Dopiero wieczorem odkryto straszną prawdę. Bardzo mało zdołało wyjść z kościoła, jeszcze mniej zdołano wydobyć i to na pół popalonych Gdy się ogień wypalił, pokazały się stosy ciał albo leżących, albo w gruzach stojących albo klęczących, jak je ogień zachwycił; większa część blizko drzwi, inne pod arkadami lub pod wielkim dzwonem, który spadł na nie koło drzwi. Wówczas zaczęto przypuszczać, że mogło zginąć 500 do 600 kobiet, na drugi dzień rano, gdy ciała zebrano i porachowano, naliczono tysiąc czterysta! a to jeszcze nie wszystko. Według list ogłaszonych przez dzienniki brakuje około 2000 kobiet w mieście, z tych dwie trzecie służących, jedna trzecia kobiet należących do najzamożniejszych rodzin w Sant-Jago. Główna straszliwa katastrofa nie trwała więcej kwandransa.

ZDANIE MORALNE.

Można gnębić niewinność, okować w kajdany;
Lecz pewny w sumieniu, w cnocie niezachwiany,
Ten łańcuchem obciążon potrafi być sobą;
Pęta ciężą na zbrodni, cnocie są ozdobą.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.